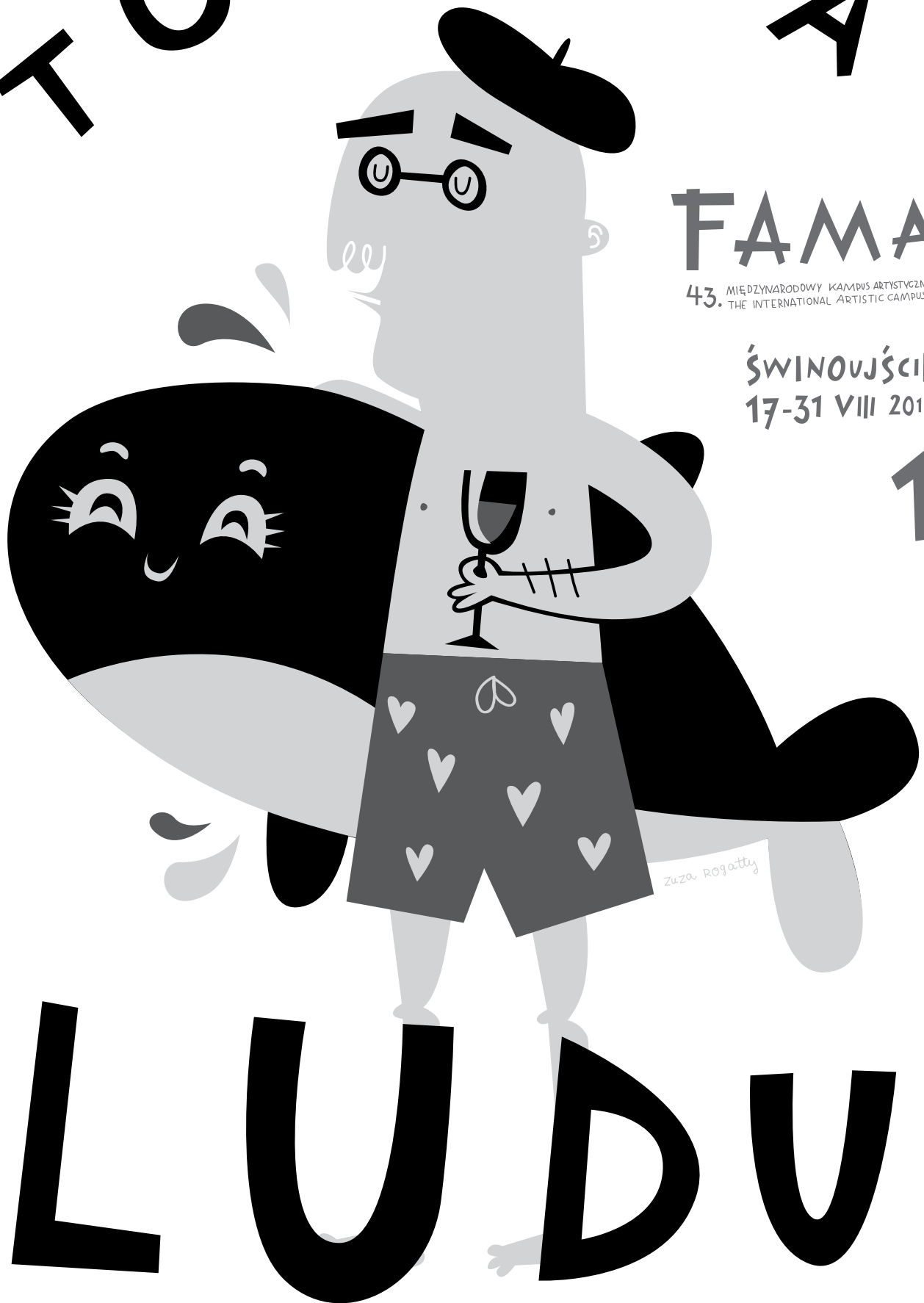


TORPEDA



ŃAMA

43. MIĘDZYNARODOWY KAMPUS ARTYSTYCZNY
THE INTERNATIONAL ARTISTIC CAMPUS

ŚWINOUJŚCIE
17-31 VIII 2013

1

LUDU

LITERACKA MAPA FAMY

Zrób sobie raj

Aldona Keklak

Mariusz Szczygieł:
Zrób sobie raj
Wydawnictwo Czarne
Wołowiec, 2010



Marzyła mi się książka o moim ulubionym kraju bez napinania się. Żeby nie musiała odzwierciedlać, obiektywizować, syntetyzować. Jestem niechlujnym czechofilem, ta książka nie jest ani kompetentnym przewodnikiem po kulturze czeskiej, ani po Czechach. Nie jest obiektywna. Nie rości sobie pretensji do niczego. Jest wyłącznie o tym, co mnie zafascynowało przez ostatnich 10 lat, od kiedy pierwszy raz przyjechałem do tego kraju. Jest wielką notatką z lektur i ze spotkań z ludźmi, których chciałem tam spotkać. Słowem, jest o miłości przedstawiciela jednego kraju do innego kraju. Może jest jeszcze o czymś, ale to już zostawiam Państwu.

Takim wstępem swoją książkę, *Zrób sobie raj* opatrzył Mariusz Szczygieł. W przeciwieństwie do *Gottlandu* pokazuje Czechów współczesnych. Jak powszechnie wiadomo autor uległ fascynacji kulturą naszych sąsiadów, czytając tę książkę można spojrzeć na życie, na jego istotne aspekty, takie jak religia i kultura oczami mieszkańców tego niezwykłego kraju.

Szczygieł dużą część książki poświęca tematowi wiary. Ale to jednak Czesi nie wierzący w Boga wydają się być bardziej fascynującymi postaciami. Przykład syna, który odbiera prochy matki po ... pięciu latach, czy też sytuacja, w której okazuje się, że nikt nie wie jak się przeżegnać po czesku. Niesamowite zdarzenia, które w Polsce byłyby nie do pomyślenia. Ale jak mówi sam autor: „Jeśli to nie jest zmyślane, to mogło się zdarzyć tylko w Czechach”.

Książka po części przypomina reportaż, czasami pamiętnik, miejscami esej. Autor przybliży i tłumaczy czytelnikowi niektóre cechy Czechów. Dokonuje tego poprzez rozmowy ze zwykłymi mieszkańcami, jak i poprzez przywoływanie znanych postaci ze świata sztuki. Naród czeski, w przeciwieństwie do polskiego, nie traktuje cierpienia jako czegoś wywyższającego człowieka. Wręcz przeciwnie, wszystkie troski, czy niepowodzenia starają się zwalczyć humorem. Do każdego, nawet najbardziej poważnego tematu, starają się podejść z przymrużeniem oka.

Nigdy nie byłam zapaloną miłośniczką naszych południowo - zachodnich sąsiadów, jednak po przeczytaniu tej pozycji z chęcią zagłębię się w nietuzinkową czeską mentalność.

Grochów

Katarzyna Prędotka

Andrzej Stasiuk:
Grochów
Wydawnictwo Czarne
Wołowiec, 2012



Najpierw poczułam zapach zbieranych jabłek, kolejny to zapach ziarna, koński pot, zapach człowieka umarłego. Cisza, przerwa. I następne: zapach obiadu, kiszonych ogórków, zapach człowieka uwięzionego w swoim ciele. Cisza, przerwa. Zapach zdychającego powolnie psa, zapach powietrza, nieokreślony zapach - ale przypisany człowiekowi. Cisza, przerwa. Zapach miejsc, torów, podróży i zapach umierającego człowieka.

W tej książce jest dużo o śmierci, ale przede wszystkim dużo jest w niej o człowieku, o jego przywarach i odruchach. *Grochów* to według mnie zbiór odcieni życia, dla których tłem była śmierć. Jednak kostucha, to bohaterka drugoplanowa.

Książka Andrzeja Stasiuka jest uniwersalna. Dla jednych mogą być to opowiadania o śmierci, radzeniu sobie z nią, przygotowaniu do niej. Jednak gdy książkę czytamy z „wolnym umysłem” bez wcześniejszych założeń co do jej treści, może być odczytana w zupełnie inny sposób. Nagle okaże się że nie my przygotowujemy się do śmierci, ale śmierć przygotowuje nas do siebie.

Cztery opowiadania. O babce, Augustynie, suce i opowiadanie dla Olka. Żaden z tekstów nie jest obszerny, jednak czytając je miałam wrażenie, że spędzam nad nimi ogromną ilość czasu, a przecież to niecałe 100 stron. Ta książka po prostu wciąga czytelnika do swojego świata przedstawionego. Jej język nie jest obcy, dlatego chcemy tam zostać. Poza tym bohaterowie, każdy z nich jest w jakimś sensie nasz. Czytelnik może powiedzieć, że miał babkę, albo bliskiego przyjaciela, który był częścią naszego życia. Jednak pomimo tych podobieństw autor nadaje każdej postaci część ginącej magii, która wraz z zakończeniem opowiadania umyka.

Jak wspominałam wcześniej, według mnie śmierć była w tym zbiorze tłem. Może wywoływaczem i utrwalaczem? Może śmierć cały czas mieszka w fotograficznej ciemni na spółkę ze starością? To chyba nie jest tak, że starość to zrzędlivość. Jacy jesteśmy w młodości, tacy będziemy i później. Starość, to utrwalacz. Śmierć jest wywoływaczem naszych nieznanymi zakamarków.

Niedo-demokracja

Katarzyna Nowicka

Serhij Żadan:
Hymn demokratycznej młodzieży
Wydawnictwo Czarne
Wołowiec, 2008



Mykoła Riabczuk twierdzi, że Europa Wschodnia nie zapewni Zachodowi stabilności geopolitycznej ani nie jest dla niego atrakcyjna pod względem ekonomicznym (bo jest „niedo-Europą”). Jedyne kultura może zainteresować Zachodnich Europejczyków, zwłaszcza ta stworzona w czasach komunistycznych, kiedy konieczne było rozbudzenie godności i wolności. Wydaje się, że literatura po pomarańczowej rewolucji już jest do tego niezdolna, a Zachód Ukrainą nie będzie kulturalnie zainteresowany (chyba że eventowo wpadnie tam Femen).

Serhij Żadan wydał w 2006 roku *Hymn demokratycznej młodzieży*, książkę, która ma opisywać liberalną ukraińską demokrację i postsowieckie społeczeństwo. Właśnie – ona opisuje, a nie wstrząsa; streszcza, a nie krzyczy o zmiany, nie upomina się o indywidualność losów. Żadan nie robi rozróżnień między postaciami – wszystkie mówią w ten sam chaotyczny sposób, wszystkim przydarzają się nieprawdopodobne ciągi przygód, które wcale nie są absurdalne, a wymuszone skojarzeniami językowymi. Oczywiście, można sobie wyobrazić, że służy to podkreśleniu pure-nonsensowego życia we współczesnej Ukrainie, jednak niezgrabność i wymuszona zabawność nie jest żadnym usprawiedliwieniem nawet dla szlachetnych celów. Czy bracia postanawiający założyć pierwsze prywatne krematorium albo dwaj koledzy z dzieciństwa inwestujący w pierwszy w mieście klub gejowski mogliby postąpić tak tylko na Ukrainie? Czy łączenie zdarzeń grubymi nićmi absurdu wystarcza, żeby wnikliwie obejrzyć obecną sytuację Ukrainy?

Przewrotny tytuł obejmuje kilka opowiadań o ludziach koło trzydziestki, którzy w zasadzie szukają pomysłów na jakiś zarobek, niezbyt wyszukanych i niezbyt logicznych. Szukają sposobów na przedostanie się na Zachód (pojawiają się strażnicy na polskiej granicy, zajmujący się ukraińską prostytutką) albo poszukują korpo-miłości. Nikt nie ma łatwego życia – taki morał można wyprowadzić z książki. *Nihil novi*, jak mawiali starożytni Rosjanie. Nawet forma nie jest zachęcająca do sięgnięcia po tę pozycję – nie jest to udana groteska. Fakt, że demokratyzacji Ukrainy Polska w różnorodny sposób przyklaskuje nie może być usprawiedliwieniem dla wychwalania niezbyt udanej prozy pochodzącej właśnie stamtąd.

Rzeczy pierwsze

Martyna Tomczyk

Hubert Klimko-Dobrzaniecki:
Rzeczy pierwsze
Społeczny Instytut Wydawniczy
Znak
Kraków, 2009



Lekkość. To pierwsza rzecz, która urzeka podczas lektury tej cienkiej książeczki, składającej się z dziesięciu opowiadań – oryginalnych wariacji na temat swojego życiorysu. Ale autobiografizm i obiecana „prawda, cała prawda i tylko prawda” okazują się zmyłką już na pierwszych stronach, z których dowiadujemy się o trzech różnych wersjach narodzin pisarza, z których każda jest jeszcze bardziej absurdalna od poprzedniej, a na końcu wszystkie okazują się snem. Dalej jest podobnie, albo może nawet lepiej: kariera pisarska przepowiedziana przez Japończyka wróżącego z przetrawionych kurzych wątróbek, pierwszy garnitur należący wcześniej do nieboszczyka, czy wiedeński psychoterapeuta leczący za pomocą imion hawajskiej księżniczki – takie przykłady można by mnożyć bardzo długo.

I tak się to właśnie szaleńczo toczy, historie z czasów szkolnych, pierwsza komunია, więź łącząca pisarza z wujkiem Lutkiem, seminarium duchowne, zagraniczne autostopowe podróże, życie na emigracji aż po trudne początki pisarstwa i kolejne banicje. A wszystko to oczywiście przekolorowane, przefiltrowane przez literacką wrażliwość i osobliwe poczucie humoru pisarza, co stanowi w pewien sposób swoisty styl autora.

Mieszanie się rzeczywistości i literackiej fikcji oraz czerpanie garściami ze swoich, (trzeba przyznać, nad wyraz bogatych!) życiowych doświadczeń nie jest bowiem nowością, ale konsekwentnym pomysłem realizowanym przez Klimkę – Dobrzanieckiego od początku literackich dokonań – historie islandzkie były już kanwą wcześniej wspomnianego tomu *Dom Róży. Krýsuvík*, a dzieciństwo i dorastanie w Bielawie zostały już opisane w zbiorach *Wariat* czy *Raz Dwa Trzy*.

Przepis się sprawdza, fabularna mnogość urzeka. Zzainteresowaniem śledzi się, coraz bardziej absurdalne przygody. Jednak to, co stanowi w moim odczuciu – najbardziej, o sile tego tomu i jego pisarstwa w ogóle to naturalność, z jaką, w tym językowym rollercoaster, mieszają się rzeczy zwyczajnie zabawne z tymi zupełnie poważnymi. I dystans, który sprawia, że z opowieści w pewnej mierze przecież osobistych powstaje całkiem uniwersalna i w gruncie rzeczy dosyć gorzka opowieść o życiu. Tak zwyczajnie.

Kora mówi: Kocham Rudnickiego

Marta Marciniak

Janusz Rudnicki:
Trzy razy tak!
Wydawnictwo W.A.B.
Warszawa, 2013



Janusz Rudnicki siedzi na nudnym spotkaniu autorskim. Wychodzi i wraca po pół godziny. Na scenie kluczowi reprezentanci współczesnej literatury, gadanie o książkach, o tym jak żyć. Nagle Janusz podnosi rękę i opowiada historię, przerywa. Wyszedł do łazienki, myje ręce i nagle woda w kranie zaczyna strzelać do góry, cały ochlapany wychodzi na zewnątrz, aby osuszyć się w słońcu. Siada przy fontannie bo ta fontanna skojarzyła mu się z kranem, poza tym Poznań, fontanna, te rzeczy. Nagle podchodzi do niego żul i pyta czy może szluga. Janusz mówi, że nie, bo już czwarty żul go prosi i że już nie można bo ma mało. I wtedy żul mówi *czasami w życiu tak jest*, a Janusz zaczyna się zastanawiać czy *to proza czy już poezja?* Taki właśnie jest Janusz Rudnicki i taka jest jego książka *Trzy razy tak!*, czyli zbiór zastanowień w stylu *Czy jestem incydentem, który przydarza się mnie samemu?* Jak zwykle Janusz operuje ciętym humorem, absurdalną i smutną refleksją (na przykład wtedy, gdy spędza sam wigilię i po kolei odgrywa role matki i ojca), pytaniami czy wszystko co najlepsze już było. Bohaterem opowiadań jest sam Rudnicki zwany Herr Rudnicki, który jest czystą fanaberią, a fanaberia jest u niego składnikiem spektaklu lub obrzędku narracji, spektakl lub obrządek organizuje się i reżyseruje jak pokaz cyrkowy lub jarmarczny, zdarzyć się w nim może i powinno jak najwięcej, najlepiej, jakby się zdarzało za każdym razem wszystko. Spotkamy w tej książce Krystynę Jandę, Kazimierę Szczukę, Kuczoka, Szymborską. Dowiemy się jak wybrnąć z sytuacji, kiedy strasznie chce nam się siku w autobusie, a wstydzimy się powiedzieć kierowcy, jak uprawiać seks na dachu Złotych Tarasów, jak trzepać dywany, jak mówić do Polski, żeby cię słuchała. Kolejność tych opowiadań jest *jak paciorki różańca, można je sobie w dowolnej kolejności odmawiać*. Jego pisanie nie trzeba reklamować. To pisanie nie wymaga genialnych kampanii czy rozmów o nim w TVP Kultura. To kawał dobrej literatury, którą wasze dzieci i wnuki będą miały w liceum jako lekturę obowiązkową, chociaż Janusz by pewnie tego nie chciał. Cudowna porcja terażniejszości. Magdalena Cielecka powiedziała o nim *Chciałam go zamordować, jeśli nic nowego nie wyda. I wydał. I dobrze*.

DROGA PO-ZBIERANA

Mateusz Grzeszczuk

Dorota Warakomska:
Droga 66
Wydawnictwo W.A.B.
Warszawa, 2012



W dzieciństwie została nazywana *piekielnym Piotruś*em, a to z uwagi, że nigdy nie potrafiła usiedzieć na jednym miejscu. Porównałbym ją z jedną bohaterką Kundery z *Księgi śmiechu i zapomnienia*. Bibi zawsze miała przeczucie, że jej ciało przepełnione jest pragnieniem szaleństwa, wypowiedzenia się.

Drogi nie trzeba rozumieć, wystarczy ją czuć. Droga może wydawać się prosta, może nie odgrywać dla nas żadnej znaczącej roli, ale kiedy pojawia się OBCY, to każde następne jego pytanie, zdradza, OBNAŻA prawdziwe uczucia względem "Matki". Obcym jest autorka książki, która metodą szkatułkową, budzi w bohaterach świadomość o odpowiedzialności za *Road 66*. Warakomska w wielu przypadkach nie dopuszcza do wymazania z ich głowy wspomnień i chorób. To właśnie często splin i zrezygnowanie, pozwala zbliżyć się im do własnych źródeł. Bez znieczulenia opowiadają o swoich interesach rodzinnych i chwalą czasy świetności *Mother Road*, to właśnie dzięki nim czujemy posmak minionej epoki. W książce ważna jest osobność. Każda z postaci odkrywa przed nami, nowe, ale pojedyncze wydarzenia, które nieświadomie tworzą zwarty program. Dziennikarka zwiedza Brankson- chrześcijańskie Las Vegas, poznaje miejsca, w których całkiem niedawno istniały pewne regulacje segregacyjne na czarnych i białych. Wcina w pubach *Cozy Dog*, a mając w kieszeni 1550 dolarów, ma świadomość, że stać ją na zakup człowieka.

Droga 66 to droga odzyskana, pomimo faktu, że każdy kto ją przebrnął - wszedł w jej posiadanie. Matka wszystkich, ale matka niczyja, z pojedynczymi historiami ludzi, dzięki którym nie zniknęła z pamięci. Każdy fragment 2248 mil jest jej nowym początkiem, chciałoby się powiedzieć - *tutejsi przedłużają ją w nieskończoność*. Lektura dodatkowo potwierdza, że jest to już pewna forma kultu. Pomimo dosyć prostego języka, harmonijnej budowy, a nawet pewnej sztuczności, ta relacja staje się nad wyraz autentyczna. Historie wciągają wieloznacznością, rozgrywaną w zupełnie innych przestrzeniach.

Zastanawia mnie fakt, czy autorka zdołała uratować dla siebie choć kawałek asfaltu. Podróż przypominała następujące po sobie klatki filmu, fabuła wydaje się być uwięziona w biegu. Nie znalazłem fragmentu,

który pomimo wszystko budowałby najbardziej intymny charakter tej relacji. Bohaterowie konstruują kolejne sefry, ja rozpakowuję te historie, ale cały czas zadaje sobie pytanie: *skąd biegnie liryczny głos tej historii?*

Gottland

Piotr Olejnik

Mariusz Szczygieł:
Gottland
Wydawnictwo Czarne
Wołowiec, 2010



Nie jestem pewien, czy *Gottland* jest pozycją dla każdego czytelnika. Nie twierdzę przez to, że tylko osoby wybrane mogą ją zrozumieć i czerpać korzyści i przyjemności z lektury, zaś reszta, nieznająca tematu dzieła, nieświadomiona na punkcie problemu i mało świadoma w ogóle zmarnuje swój czas podczas czytania tego niezwykłego reportażu. Dlaczego niezwykłego? Na pierwszy rzut oka *Gottland* niezbyt odznacza się jakąkolwiek unikatowością. Reportażowy zbiór kilkunastu opowieści osadzonych w komunistycznych Czechach traktujących o jednostkach nieokreślonych, bezosobowych, ale także takich, które osadziły się już na kartach historii. Przedstawione zostają losy Otakara Sveca, rzeźbiarza i twórcy największego w Europie pomnika Stalina, postawionego w Pradze; budowli, która pochłonęła życie wielu robotników w trakcie powstawania, jak i również przyniosła śmierć na swojego pomysłodawcę. Svec popełnił samobójstwo z powodu presji psychicznej oraz nieustannych kontroli ze strony władz i policji. Przybliżona zostaje również sylwetka Lidii Baarovej, czeskiej aktorki, będącej obiektem polowań zarówno przez Amerykę jak i Niemcy, dotkniętej Parkinsonem w ostatnich latach życia. Szczygieł pokazuje nawet (co prawda nieprecyzyjnie i nieszczegółowo, ale taka jest opisywana osoba, jakby mgłą mętną osnuta) siostrzenicę samego Franza Kafki jako starszą kobietę, wyjątkowo upartą w nieudzielaniu wywiadów i braku kontaktu z mediami. Między kolejnymi dłuższymi tekstami znajdują się też króciutkie, niczym wyrwane z wywiadów dialogi z napotkanymi osobami (przepytywany chłop z *Jak pan sobie radzi z Niemcami?* urzeka mnie całkowicie). Czeska rzeczywistość prezentowana w dziele jest ciężka, trudna. Mocno zagarnięta przez komunizm, będąca pod jego sterem bywa szara i przygnębiająca. Czesi natomiast są ludźmi pogodnymi, nie żądającymi zbyt wiele- starają się po prostu przetrwać w chorym i okrutnym świecie. Czują nie złość i nienawiść, a jedynie smutek, nie idą według zasady z kodeksu Ham-

murabiego wobec oprawców. Panorama ich losów jest posępna, aczkolwiek naznaczona specyficzną ironią oraz czeskim, niepowtarzalnym humorem. Wstrząsające są opisy losów naszych południowych sąsiadów, lecz niejednoznaczne, zawierające wiele punktów odniesienia i morałów. Dlatego właśnie ta powieść jest niezwykła. Przy odczycie otwierającym ten reportaż doznałem niejakiego olśnienia, że dzięki Tomasowi Bacie, twórcy międzynarodowego koncertu obuwniczego, praktycznie ominęło mnie nudne poszukiwanie butów na bal maturalny, gdyż te, które postanowiłem zakupić były właśnie w Bacie, istniejącej już prawie sto lat. Dlaczego utwór nie dla każdego? Sam nie wiem. Bo naprawdę, nie trzeba być czeskim fascynatem, żeby po tę pozycję sięgnąć. Bo to nie do końca jest rzecz o Czechach. Po prostu, o ludziach. Wspaniałych ludziach. Tylko czasy nie te.

Niestety tylko pierwsza część

Agnieszka Horodyska

Serhij Żadan:
Woroszytówgrad
Wydawnictwo Czarne
Wołowiec, 2013



Przyzwyczaiałam się zostawiać wszystko na ostatnie sekundy, byle nie trzeba było wkładać wysiłku w przekonywanie się, że trzeba już zacząć – wtedy do pracy pcha sam brak czasu i koszmary o tym, jak wszystko się wali. Wtedy egzystencja ma interesujący zapach apokalipsy (paskudne zdanie, ale naprawdę tu potrzebne; lenistwo lubi dziwne ubrania). Na „ostatnią chwilę” zostawiłam też poznanie literatury współczesnej i recenzję książki do pierwszego numeru *Torpedy Ludu*.

Największym wrogiem mojego systemu jest życie, które kocha się w słowie „zniecka”. Spokojnie czytałam *Woroszytówgrad* ukraińskiego pisarza Serhija Żadana, oglądając jakby z boku swoje wnętrze, gdzie brakowało mi barier, które już dawno powinny mnie zatrzymać, poinformować o zagrożeniach dla niewinnego umysłu, kiedy poczułam, że warto byłoby przeczytać jeszcze raz maila od Pawła Łęczuśki – redaktora *Torpedy Ludu*. Zniecka dowiedziałam się z niego, że termin wysyłania recenzji minął dwa tygodnie temu, podczas gdy ja przeczytałam dopiero pierwszą część *Woroszytówgradu*, a druga, w której wszystko ma się rozwiązać, wciąż na mnie czeka.

Na szczęście skład jest dopiero teraz, wciąż mam swoje ostatnie sekundy, żeby powiedzieć, co mi zrobił bezpretensjonalny pierwszoosobowy narrator, który tylko z litości i nieporadności pozwala kobi-

etom na współzycie, a życiu na bujanie nim od miejsca do miejsca „okazjami”, gdy załatwia sprawy, których ewentualny sens może tylko przeczuć. Razem ze mną nic nie wie i razem ze mną odkrywa, że to on decyduje, co zrobią z nim miejsca, ludzie i wspomnienia. Pozwalamy, by napięcie w nas rosnęło, gdy kolejne informacje pojawiają się w słuchawkach akurat działających telefonów i razem oddychamy pełniej i swobodniej gdy zamiast najbardziej istotnej wiadomości słyszymy tylko przypowieść o strachu przed lataniem.

Wciąż się zastanawiałam, czy to w ogóle literatura, czy to, co dzieje się teraz na powojennym świecie, te telefony komórkowe, ta łatwość stukania w klawiaturę, mogą jeszcze coś powiedzieć o uniwersaliach. Serhij Żadan może też się nad tym zastanawia, bo męski (także w postaciach kobiecych), brudny i niemający-oporów-przed-daniem-bratu-w-ryj świat współczesny, stroi w kompletnie dzikie metafory, które na zmianę irytują i zapraszają do wczucia się, ale świetnie oddają nastrój naszej codzienności. Może na wyrost daje nam tę codzienność w opisach ludzi i miejsc, które składają się z nieskończonych strzępków przesądów, wierzeń, przywiązań i odpadków. Może jednak zbyt bliski jest gdy „jakoś” „oczywiście” o nim opowiada. Jednak w prostocie pomieszanej z fantastycznymi wizjami, tworzonymi przez senność, narkotyki i alkohol znajduję chyba to, co bezpretensjonalny „słabiak” - narrator – jakąś oczywiście ewentualną pełnię. I sama bym lepszej powieści nie napisała.

Literacka tandeta

Monika Błaszczak

Krzysztof Varga:
Nagrobek z lastryko
Wydawnictwo Czarne
Wołowiec, 2007



Lastryko to tandetne połyskliwe tworzywo, z którego robi się m.in. posadzki, parapety i nagrobki. Kojarzy się też niewątpliwie z aktualnie modnymi a'la skandynawskimi wnętrzami, gdzie nietrwale, tanie mebelki obleczone są w połyskliwe okleiny. *Nagrobek z lastryko* Krzysztofa Vargi to nie tylko bezwzględna diagnoza otaczającej nas rzeczywistości, ale i pełna tandetnych zabiegów literackich historia opowiedziana przez wszytkowiedzącego narratora.

Jest to powieść porażająco depresyjna, przeraźliwie bezwzględna i może dlatego przydługa. Serwuje czytelnikowi szereg cierpień ze względu na liczne metaforyczne gwałty na języku i otaczającej nas rzeczywistości, kuriozalne opisy i zbitki niedających się na zimnoprzetrwać opisów oraz coraz bardziej karykaturalne, niekiedy szybko porzucane, wątki. Autor uwy-

pukła „polsko-maczość”, cierpiętniczą mizoandrię kobiet i indolencję mężczyzn. Strona po stronie bezlitośnie pastwi się nad everymanami i everymankami, nie oszczędzając przy tym ambitnego czytelnika. Pastwi się równie bezwzględnie nad budami z tanim i szybkim jedzeniem, celebrytami, co i kultem Powstania Warszawskiego. Stosuje zasadę nie brania jeńców aż do bolesności.

Nie jest ważne czy jest to antysaga, kontra do *Lali* Jacka Dehnela, czy polski odpowiednik Houellebecqa, jak sugeruje w swojej recenzji Grzegorz Czeakański. Nie jest też ważne to, że narracja prowadzona jest z perspektywy 2071 roku, że Ziemia i ludzie mają za sobą kolejną wojnę światową, czy jak nazywa się główny bohater. Nie ma tu żadnej propozycji, żadnego wyjścia, żadnego projektu dotyczącego naszej cywilizacji, czy nas jednostek.

Obrzydliwi mężczyźni, przetłuści, nieradzący sobie z nałogami. Z drugiej strony matki cierpiące i kontrolujące oraz niepokalane poczęcie dzięki *in vitro*. Doprowadzony do granicy absolutnego kiczu rozdział opisujący wizytę dziadka bohatera u pseudodiablicznego dentysty sław Helfajera, który walcząc z jego krwawiącą piątką prowadzi jeden z najbardziej tandetnych kazań dotyczących relatywizmu dobra. To wszystko powoduje lekkie torsje.

Jest to powieść znakomicie gorzka, siląca się na inteligentny dowcip co bardziej kuriozalnymi motywami, rozbudowanymi detalami mającymi być ironicznymi i zdystansowanymi komentarzami na temat naszej wspólnej kultury, zwanej masową. Niekiedy jednak obnażając naszą śmieszność doprowadza język do śmieszności. Krytykując nasze tandeciarstwo używa tak tandetnych zabiegów, że odrzuca nas to od lektury. Może w tym jest to mistrzostwo, które sprawiło, że książka została nominowana do NIKE, ale i musiała przegrać z *Biegunami* Olgi Tokarczuk. Nie ma też takiej możliwości, by potomni mówili o prozie infanterylistycznej, albo o czasie lub erze infanterylizmu, no chyba, że w takim sensie, że nas ta pośrednia krytyka życia doczesnego za bardzo przejmowała.



Maskotka sekcji literackiej już płynie ;-)

PKP

Maksymilian Salski

Stoi gdzieś w polu lokomotywa,
Stara, spóźniona i mocz z niej spływa -
 Żółta uryna.

Stoi, nie sapie, nie dyszy, nie dmucha,
Żadnego znaku życia nie daje dla ucha,
 Fuj - jak śmierdząco!
 Ach - jak gorąco!
 Ble - jak żenująco!
 Kurwa - jak polsko!

Takie głosy dochodzą z przedziałów,
A to początek postojów i żaru,
Konduktor przez wszystkich jest zaczepiany,
Ludzie z wściekłości toczą z pysków piany,
Tałatajstwa jest pełno w każdym wagonie,
W jednym wieśniacy w drugim miastowi,
A w trzecim pielgrzymi do Częstochowy
 Siedzą i w dłoniach macają Maryję,
 Z każdego cielska pot strugą płynie,
W czwartym przedziale z korporacji hołota,
Zajada się schabem gnuśna miernota,
W piątym rodzina z tradycją i dumą,
Karmi swe dziecko powszechną obłudą,
 W szóstym studenci,
 W siódmym lud pracy,
 Jak w każdym innym kato-rodacy
A tych człowieczków czterdzieści milionów,
Każdy z innego pochodzi domu.

Lecz choćby przyszło tysiąc katastrof,
Powodzi, wybuchów, wojen wśród wrzasków,
To nic pociągu z miejsca nie ruszy,
Stać będzie dalej w niedoli, katuszy!

Nagle - pizd!
Nagle - jeb!

Pociąg stoi!
Co za pech!

I nic się
zupełnie
nic się
nie zmienia
z trocin
z trocin
z trocin
ta ziemia.

A nawet jak ruszy,
To gdzie on pojedzie?

No dokąd? No dokąd? No dokąd? Na wprost?
Po trupach? Po trupach? Pałac każdy most?
Przez szczelne kariery, do góry wytrwale?
Do matek, do ojców na obiad niedzielny?
By słuchać od lat przemówień bez zmiennych -
Nie tak to, nie tak to, nie tak miało być,
Nie tak to, nie tak to, uczyliśmy cię żyć,
Miałeś być naszą dumą i wiarą,
No powiedz, no powiedz nam jak to się stało?
 Że żonę twą piękną z domu wywiało?
 Że jeszcze nie jesteś ojcem, dyrektorem?
 Pytają, pytają, pytają z mozołem.

Nagle powoli rusza do boju,
Wśród pól ziemniaków, buraków i gnoju,
Ludzie do życia wracają szczęśliwi,
Nikogo to wcale, a wcale nie dziwi,
 Że -

Nie tak to, nie tak to, nie tak miało być
Lecz trzeba nam, trzeba nam, trzeba tu gnić



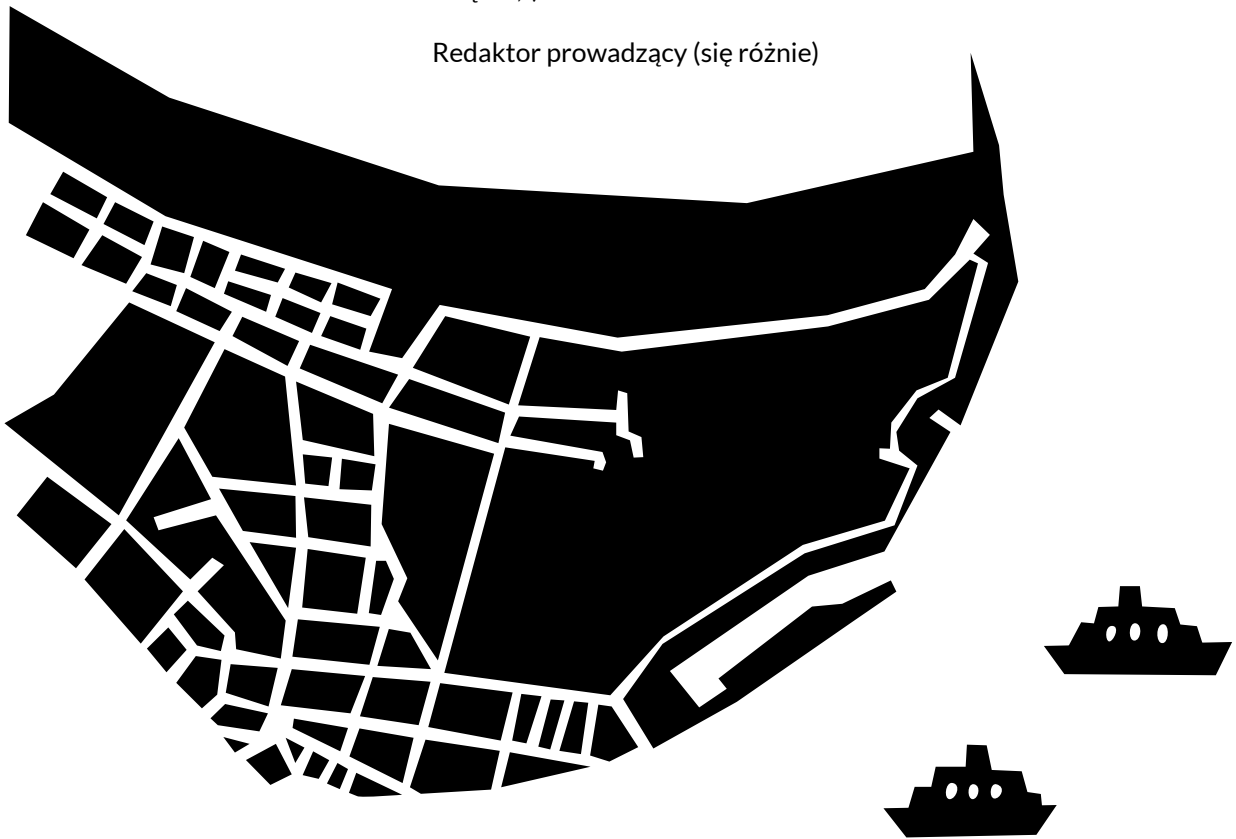
fot. Jakub Jabłonka

Witajcie na FAMIE!

Oto literacka mapa Festiwalu, czyli prezentacja twórczości zaproszonych gości projektu Miejsca Literatury dokonana przez uczestników sekcji literackiej. Warsztatowicze dzielą się swoimi wrażeniami po lekturze książek swoich starszych kolegów po piórze. To także zaproszenie na spotkania, których w tym roku będzie wyjątkowo dużo. Czekając na maskotkę sekcji zapraszamy do żywego udziału w literackim życiu FAMY.

W następnych numerach m.in. o psie, który czyta książki ;-)

Redaktor prowadzący (się różnie)



Biuletyn redaguje zespół uczestników sekcji literackiej.
Redaktor prowadzący: Paweł Łęczuk
Współpraca: Darek Foks
Projekt okładki: Zuzanna Rogatty
Skład i łamanie: Szymon Piasta
Zdjęcia: Jakub Jabłonka